

— Uczyniłam tak sobie uwagę dla siebie, bez większego znaczenia.

— Czy wytlómaczysz się pani, czy nie?

— A więc: Często sobie czyniłam tę uwagę, obawiając się, żeby się panu Bélac coś złego nie przytrafiło.

— Z jakiej przyczyny?

— Ano, pan wie lepiej odemnie... takie podejrzane osobistości chodzą do niego... Nie wszyscy, ma się rozumieć. Są osoby bardzo porządne... ale niektóre, no... jeden drugiego by wystraszył, gdyby się tak wieczorem spotkali przypadkiem na brzegu lasu.

— Dużo takich wizyt przyjmował?

— Dosyć, ale nie zawsze... czasem mniej, czasem więcej i zawsze wczesnym rankiem... wpadają na krótko...

— A w ciągu dnia?

— Eh! w ciągu dnia to go nigdy niema. Bardzo rzadko kiedy wraca za dnia do domu... jak również nie wychodzi nigdy wcześniej ani później tylko o dziewiątej.

— A cóż właściwie robi?

— Prowadzi jakieś finansowe sprawy... to przecie na drzwiach u niego napisane. Ale załatwia to wszystko na mieście widocznie, kiedy go nigdy tu niema... I pewnie przynosi mu ładne zyski, bo koło 15 i 30 każdego miesiąca odbiera pokaźne sumy...

— Skąd o tem wiecie?

— A to dobre? Skąd? Przecież zawsze mogę pogawędzić trochę z chłopcem z banku, który do niego przychodzi.

— Więc niema nikogo do pomocy... nawet służącego?

— Nawet żywej duszy... Ja go obsługuję i prowadzę gospodarstwo.

— Tak?... A więc pani ma klucze?

— Tak, klucze do mieszkania.

— Dobrze; a więc zapowiadam pani, że nie wolno tam wchodzić, aż wydam stosowne rozporządzenie.

— Jakto? a kto posprząta, kurze zetrze?

— Nikt! Proszę tylko wykonać mój rozkaz, zrozumiano? bo może być źle! Kiedy widział pani po raz ostatni pana Bélac?

— Wczoraj rano.

— A przedtem?

— Jakto przedtem?

— No tak, w inne dni?

— Jak zawsze, rano.

— A czy powracał regularnie co wieczór do domu?

— Regularnie z wybiciem godziny jedenastej... jestem tak do tego przyzwyczajona, że wczoraj byłam silnie zdziwiona, gdy o zwykłej godzinie nie powrócił... To coś nadzwyczajnego! To się nigdy nie zdarzało... Coś się mu stało!... Prawda? pan wie?

— Nic się mu nie stało. Jak długo Bélac mieszka w tym domu?

— Oh! będzie już z ośm lat.

— I często wyjeżdża?

— On? gdzie znowu! Nie widziałam większego domatora.

— Tak! więc nigdy nie wyjeżdża?

— Ah, raz czy dwa do roku i zawsze mi o tem mówił.

— A jak długo trwała ta jego nieobecność?

— Jeden dzień lub dwa najwyżej. Raz tylko nie było go trzy dni...

— Kiedyż to?

— Nazajutrz po ostatnim kwietniowym terminie...

— A do dyabła! Pewnie przyjmował wtedy dużo cudzoziemców? Anglików na przykład?

— Wcale nie. Ludzie, którzy go odwiedzali, nie mieli wcale cudzoziemskiego akcentu... Byłabym przecie to była spostrzegła.

— Prawda! Czy wyjeżdżając zabierał z sobą jakie rzeczy?

— Tylko małą torbeczkę z przyborami do toalety. Jednakże przypominam sobie, że w kwietniu wyjeżdżając miał większy kuferek.

— Przyjmował kobiety u siebie?

— Kobiety, ani cienia.

— Nigdy?

— Nigdy! Chyba się mu pan dobrze nie przypatrzył.

— To dobrze! To dobrze... To jest wszystko co chciałem wiedzieć. Niech pani nie zapomina, że nie wolno pod żadnym pozorem iść tam na górę do mieszkania... bo może być źle!... Uważa pani?

— Zapamiętam to sobie. Niech pan będzie spokojny! Ale teraz, tak samo, jak i przedtem także, nie wiem wcale, gdzie się mój lokator znajduje.

— Pani go tak pragnie widzieć?

— No niebardzo. Mam czas przecie...

— No, nie wiadomo...

— Co pan mówi?

— Niema nadczem się dłużej rozwodzić. Zabieraj się pani bez straty czasu i chodźmy.

— Gdzie? na Boga!

— Do kancelaryi pisarza, który przyjmie panią z wielką przyjemnością.

— Do kancelaryi? do pisarza? co to znaczy?

— Do kancelaryi Morgue! No, czy pani już wie?



— Czy pan Andrzej Bélac tu mieszka?

Stara z okrzykiem: „Jezus, Marya, Józef!“ upadła bezwładnie na krzesło, napełniając powietrze niemożliwym wrzaskiem.

Ajent przez ten czas wymknął się niespostrzeżenie.

Był wściekły.

Tak dobrze mu szło do tej pory, teraz sprawa zaczynała się psuć.

Cóż mu przyszło z rozpoznania zamordowanego Bélaca? Jak dotąd nic... nie było żadnego śladu, że łączyły go jakie stosunki z mieszkańcami Wielkiej Brytanii.

— Więc dlaczegóż to bydle, podając na ulicy Clichy fałszywy adres, wspomniało o Londynie?

Myśl ta uporczywie niepokoiła ajenta Jaminot...

Łatwo wytłómaczyć, że ktoś dla omylenia władzy powie o jakiejś mieścinie na prowincyi, lecz mówić o Londynie mógł tylko człowiek, który naprawdę o tem myślał i miał w tem pewien powód. Ale jaki?

Była to rzecz bardzo delikatna, tajemnicza. Kwestya osobistej intuicji, wężu, przeczucia, która go mogła naprowadzić na trop prawdziwy, lecz również doprowadzić do fałszywej omyłki.

Dochodziła już godzina dwunasta, gdy Jaminot wrócił na policję i zdał sprawę sędziemu śledczemu ze swoich czynności. Tenże zaś jeszcze tegoż samego dnia zdał swój raport na posiedzeniu...

Dramat rozegrany na ulicy Clichy narobił wiele rozgłosu, okrył skandalem całe sądownictwo, a nawet ministerium. Zależało więc bardzo na pośpiechu!

Cały personal zgodził się na jedno: trzeba było jak najspieszniej i energiczniej dotrzeć do jądra sprawy, nie pozwalając, by ona stała się przedmiotem rozmów publiczności i polemiki dziennikarskiej. Trzeba było raz na zawsze usunąć parszywą owcę bez hałasu.

Ten przeklęty Germonpré! Za mało mu było skandalu, który wywołał w Chalon swoją fatalną pomyłką! Teraz stał się dla większego rozgłosu mordercą!... Jakby rozmyślnie przysparzał swoją osobą roboty rządowi. Chyba był waryatem! Zdeklarowanym i niebezpiecznym waryatem! To było jasne. Ale tej kwestyi nie było można jeszcze poruszać. Dopiero by powstał krzyk przeciw urzędnikom, którzy znaleźli sposób zatarcia i przytłumienia skandalu. Z ładnemi napaściami przyszłoby walczyć.

Tego samego dnia dokonano rewizyi w mieszkaniu zamordowanego Bélaca.

Na zaproszenie ajenta, a właściwie na jego rozkaz, dozorczyni domu, drżąc ze wzruszenia i strachu, udała się do Morgue i tam ku swojemu zdziwieniu rozpoznała zwłoki swego lokatora. Przybiegła zziębnięta z powrotem na ul. Saint-Martin, i stała właśnie rozprawiając szeroko na chodniku, otoczona przyjaciółkami i znajomymi, gdy przed kamienicą zatrzymały się dwa powozy, przywożące urzędników policyjnych. Na ulicy powstało zamieszanie nie do opisania.

Pomiędzy ciekawymi, zalegającymi chodniki, było wielu, którzy będąc rano świadkami odkrycia zbrodni na ul. Clichy, teraz tutaj odnaleźli się. Wszyscy byli ciekawi, zaintrygowani, niespokojni, oczekując niecierpliwie jakiegoś rozwiązania, lub choćby okoliczności, rozjaśniającej trochę tajemniczą dotąd sprawę.

Podczas gdy pan Cardec przy pomocy komisarza policyi prowadząc rewizję, kazał pozapalać świece i lampy, gdyż ciemność zalegała już mieszkanie, pan Desmondois, prokurator Rzeczypospolitej, rozmawiał poufnie z panem Noilem.

— Tak mój drogi panie — mówił prokurator — przyznaję panu słuszność. Dyabelnie trudną i przykrą sprawą obarczył pana prezydent sądu.

— O, przykro! I nie spodziewałem się zupełnie, że to na mnie padnie. Byłem pewny, że sprawa ta oddaną zostanie do prowadzenia które-

muś z radców ministerium.

— Wszyscy tak sądzili.

— A widzi pan.

Tak, ale pan byłeś obecny od samego początku badania.

— I dlatego to na moją głowę spadło!

Czy pan był w ścisłych stosunkach z oskarżonym?

— W ścisłych? Nie... Byliśmy kolegami, towarzyszami. Uczyliśmy się razem do egzaminów, które zdawaliśmy w tym samym czasie. Był zawsze bardzo pracowity, ambitny, wytrwały, ale mrukliwy i nietowarzystki.

Wogóle mało sympatyczny?

Tak sobie. ani sympatyczny, ani niesympatyczny... Uchodził w szkołach za dość ubogiego i to tłómaczyło wiele rzeczy.

Ta cała kompromitująca historia w Chalon wskazuje, że z biegiem czasu charakter jego nie uległ wielkim zmianom.

Oh! do tej kwestyi nie chciałbym bardzo wracać. Starać się będę wykazać, że jedno z drugiem nie ma nic wspólnego. Zajmę się tylko gorliwie tem niezrozumiałem morderstwem.

To się rozumie. Czy pan go od tej chwili nie widział?

(C. d. n.)